

# Mój ojciec zasługiwał n

– Wyobrażałem sobie sceny rodem z Hanek-ego, kiedy próbuję ojca dusić. Tyle że moje ciało się wówczas buntowało, a ciało taty – odruchowo ratowało. Ta fizyczna granica była dla mnie nie do przejścia.

ROZMOWA Z  
**MATEUSZEM PAKUŁĄ**

**ANGELIKA PITOŃ: Wielkanoc cię wkurza?**

**MATEUSZ PAKUŁA:** – Nie. Nie obchodzi mnie, nie obchodzę tych świąt. Jestem ateistą, półtora roku temu, wspólnie z żoną, dokonaliśmy apostazji i formalnie wypisaliśmy się z Kościoła katolickiego. Będzie to więc dla nas weekend jak każdy inny.

**Na apostazję zdecydowałeś się po śmierci taty?**

– Tak, mniej więcej rok po niej. Była to dla nas swego rodzaju klamra, zamknięcie etapu związanego z Kościołem. Święta niespecjalnie mnie więc ruszają. Jeśli ktoś wierzy, że był na świecie gość, który zmarł na oczach wielu ludzi, a potem, po trzech dniach, wstał z grobu – to niech tak sobie sądzi. Dla mnie to opowieść na poziomie wiary w św. Mikołaja. Malowanie jajek czy dekorowanie koszyczka nie wzbudzą we mnie żadnych emocji. Irytuje mnie za to, że skrajna prawica w Polsce rośnie w siłę, Konfederacja cieszy się ostatnio większym poparciem, a to oznacza, że po wyborach nasz kraj może skrócić w stronę państwa wyznaniowego jeszcze bardziej. Jeszcze bardziej wartości osób wierzących będą narzucane niewierzącym. To mnie wkurza.

**Pytam o tę Wielkanoc, bo to taki moment w roku, w którym szczególnie mocno gloryfikuje się cierpienie i śmierć. „Jezus umarł za nas, dla naszego zbawienia”. A ty tymczasem wychodzisz i mówisz: cierpienie nie ma żadnego sensu. Jest niepotrzebne.**

– Chrześcijaństwo zakorzenione jest wokół myśli, że im bardziej cierpimy, tym bardziej zbliżamy się do ukrzyżowanego Jezusa i tym większa nagroda czeka nas po śmierci. Skoro Chrystus cierpiał na krzyżu, to i my na ziemi musimy. Mam wrażenie, że żyjemy po to, by ścigać się w rankingu na największe cierpienie. Im wyższe miejsce w tym konkursie, tym lepsze warunki otrzymamy na rajskiej wyspie, na którą trafimy po śmierci. Ja się wypisuję z takiego pojmowania rzeczywistości. W moim rozumieniu żaden dobry Bóg nie posunąłby się do odebrania życia jednej osobie, żeby wstrząsnąć drugą. Oczywiście według mnie ani dobry, ani zły Bóg nie istnieje. Mój ojciec



• **Aktorzy i autor spektaklu „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję”:** Wojciech Niemczyk, Szymon Mysłakowski, Mateusz Pakuła, Marcin Pakuła, Andrzej Plata, Jan Jurkowski

FOT. KLAUDYNA SCHUBERT

natomiast wierzył w Boga do końca życia. Ale nie wierzył, że Bóg może życzyć sobie czyjś konania i ciągnącego się cierpienia. Jego Bóg, jak sądzę, nie kaźby mu tygodniami zdychać, w okropnych męczarniach. Dlatego ojciec poprosił nas o eutanazję. Wierzył, że nie czeka go kara za to, że nie jest już w stanie dźwigać tego swojego krzyża. Dlatego za wyjątkowo paskudne uważam te komentarze po moich książce czy spektaklu, w których czytałem: „a moja matka zacisnęła zęby i na nic się nie skarżyła”, „a mój ojciec umierał z godnością”. Szlag mnie trafia, że nawet z umierania robimy konkursy, nawet na łożu śmierci się licytujemy, kto był w umieraniu lepszy.

**Kto umarł ładniej, ciszej, grzeczniej, bezproblemowo. Twój ojciec w kategorii „godne odejście” zapewne otrzymałby od tych ludzi jedynek.**

– Oblałby w ogóle! Mój ojciec, rocznik 60., wychowywał się w patriarchalnej, maczystowskiej kulturze. Był uczony, że facet musi być twardy jak skała, silny, nie okazywać uczuć, z podniesioną głową znosić każdy ból. Tymczasem mój tata płakał, narzekał, chciał się zabić. Nie znosił swojego cierpienia jak James Bond. Konanie Marka Pakuły w roli agenta 007 oceniono by zapewne na minus sto punktów. Ten archetyp mężczyzny do dziś zresztą wisi nad facetami jako pewien wzorzec, niedościgniony ideał i oczywiście, jednocześnie, źródło kompleksów, frustracji, poczucia winy.

**ŚMIERĆ PRAWDZIWA, ŚMIERĆ AMERYKAŃSKA**

**Opisując odchodzenie ojca, nie stroniłeś od bardzo obrazowych opisów jego bólu. Pokazywałeś śmierć w ca-**

**lej jej brzydocie. Nie tylko próbowałeś ją odtabuizować, ale i uczyniłeś z niej sprawę publiczną, polityczną. A przecież śmierć ma być zamknięta w czterech kątach. W anonimie, który otrzymałeś po kieleckiej premierze spektaklu, czytamy nawet, że „w chamski sposób przedstawiasz intymne sprawy”. To się w Polsce nie podoba.**

– Basia Sadurska, pisarka, powiedziała mi jeszcze przed premierą książki, że mocno mi się oberwie za to, jak pokazuję umieranie taty. Że jest to brutalnie szczere, obrzydliwe i piękne zarazem, że jest tam fizjologia: wymiociny, ręce pomazane kałem, stolec na środku pokoju. Że są momenty, sytuacje komediowe. A przecież o śmierci można tylko na poważnie, albo według hollywoodzkiego scenariusza.

**To znaczy?**

– Znasz schemat, w którym człowiek nagle dowiaduje się, że zostały mu trzy miesiące życia. Rzuci więc wszystko, i niczym Morgan Freeman i Jack Nicholson z „Choć nie goni nas czas” spędza swoje ostatnie 100 dni na robieniu rzeczy, na które dotąd nie miał odwagi. Będzie więc przeżywać ostatnie romanse, wdrapywać się na Mount Everest i objeżdżać świat dookoła. Ten schemat, choć piękny, jest bardzo szkodliwy. Kiedy mój ojciec dostał miłą skądinąd propozycję lotu awionetką nad Kielcami, był w stanie dojść co najwyżej do łazienki. I to z naszą pomocą. Tak wygląda śmierć – a nie jak na amerykańskich filmach.

**Jak ojciec powiedział ci, że chce, abyś go zabił?**

– Najpierw powiedział to swojemu szwagrowi, przez telefon. Irek z kolei przekazał to mnie. Potem o eutanazji rozmawialiśmy już w domu, przy stole, kiedy

tata był po raz ostatni w szpitalu. Stwierdził, że nie ma już siły. Chciał powiedzieć cierpieniu „dość”. Szybko zacząłem się więc zastanawiać, jak to zrobić, by mu pomóc, a jednocześnie nie skazać się na pobyt za kratkami.

**Nigdy w twojej głowie nie pojawiło się pytanie, czy w ogóle chcesz to zrobić?**

– Nie. Byłem rozdarty, ale nie dlatego, że uznawałem eutanazję za morderstwo czy grzech. Wiedziałem, że trzeba to zrobić, tylko nie wiedziałem jak. Nie chciałem przysparzać mu większych cierpień. Miałem świadomość, że jestem niekompetentny, że za mało wiem, by mu móc pomóc w humanitarny sposób, podając odpowiednią dawkę morfiny (tata nie połykał tabletek), czy podpinając pod kroplówkę (nie mieliśmy morfiny w płynie). Została mi więc poduszka. Wyobrażałem sobie sceny rodem z Hanek-ego, kiedy próbuję ojca dusić. Tyle że moje ciało się wówczas buntowało, tak jak ciało taty odruchowo by się ratowało. Ta fizyczna granica była dla mnie nie do przejścia, co swoją drogą część osób uważa za dowód na to, że w gruncie rzeczy jestem przeciwny eutanazji. I że zrzucam odpowiedzialność na państwo. Tymczasem ja naprawdę chętnie podjąłbym się tego zadania – ale nie, kiedy mowa o tak fizycznym akcie jak duszenie.

**PO ŚMIERCI OJCA POCZUŁEM ULGĘ**

**Z policyjnych statystyk wynika, że od 1999 roku zaledwie cztery razy w Polsce stwierdzono dokonanie eutanazji, rozumianej w kategoriach przestępstwa.**

– To tylko pokazuje, że w kraju istnieje czarny rynek, jakaś szara strefa, gdzie

# a to, by umrzeć jak pies

dokonywane eutanazji, ale się o niej nie mówi. Uświadomił mi to feedback od czytelników i widzów po „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję”. Odzywało się do mnie mnóstwo osób, które były w podobnej sytuacji. To, co jednak zdziwiło mnie najbardziej to fakt, że dla wielu odbiorców ważniejszy niż manifest polityczny, którym jest konieczność legalizacji eutanazji w Polsce, było mówienie o umieraniu i współumieraniu. Ze towarzyszeniem komuś w procesie odchodzenia stało się taką upiorną czarną dziurą, kulą wielu emocji, często ambiwalentnych i wewnętrznie ze sobą sprzecznych, które nie mają żadnego ujścia. Chyba wtedy tak dobitnie uświadomiłem sobie, jak trudne społecznie jest rozmawianie o odchodzeniu. Stratę czy żałobę poważnie w ostatnich latach przepracowujemy. Ale cierpienie współumierania, trwanie w bólu, brzydocie odchodzenia? To zamiata się pod dywan, zdusza.

**Dużo kosztowało cię napisanie, że kiedy ojciec odszedł, poczułeś ulgę?**

– Nie. W moim domu rodzinnym bardzo otwarcie mówiliśmy również o takich emocjach. Otrzymywałem jednak wiadomości z podziękowaniami za to zdanie. Wiele osób w podobnej sytuacji też to poczuło, ale nigdy wcześniej nikomu się do tych myśli nie przyznali. Nawet sobie samym. No bo jak to, życzyć najbliższej osobie śmierci? Przecież tylko psychopaci czują się dobrze, kiedy ktoś umiera. A tu nagle okazuje się, że to normalne uczucie. Bo przecież chodzi o to, że czyjaś męczarnia wreszcie się kończy.

**Piszesz w książce, że twój ojciec zasługiwał na to, by umrzeć jak pies. Porażającym jest, że ludzie sięgają po odpowiednie narzędzia i pozwalają humanitarnie odejść krowie, koniowi czy kotu, widząc bezsens w ich dalszym cierpieniu. Tymczasem człowiek ma umierać po ludzku – czyli w męczarniach i mękach. Jak sobie ten paradoks tłumaczysz?**

– Tylko w jeden sposób: zwierzęta nie mają duszy. A człowiek, według katolików, tę duszę ma, czeka więc, aż Bóg ją do siebie wezwie. Co jednak z tymi, którzy w tego Boga nie wierzą? Którzy nie uznają go za władcę życia i śmierci? Którzy też są przekonani, że nie istnieje coś takiego jak dusza? Często nawet jeśli ktoś nie wierzy w Boga, to chce trzymać się wiary we własną nieśmiertelność, co sprawę dodatkowo komplikuje. Nie jest przecież łatwo stanąć na przeciwko sobie, uświadomić sobie, że to życie się skończy, że w istocie do niczego nie prowadzi i nie będzie po nim nic.

Nasuwa mi się wiele mocnych komentarzy, powiem jednak dyplomatycznie: ktoś, kto nie chce popelniać eutanazji, nie musi jej robić. Podobnie jest z aborcją czy in vitro. Nie mieści mi się w głowie, jak możemy w XXI wieku pozwalać na to, aby grupa ludzi, wyznająca jakieś wartości, bezwstydnie narzucała je całej społeczności.

Jednocześnie, oczywiście, doskonale zdaję sobie sprawę, skąd to się bierze. To znaczy, w takim kraju jak Polska, w któ-

rym od dzieciństwa jesteśmy indoktrynowani przez ideologię katolicką, uważa się po prostu, że nie ma moralności poza Kościołem, ludzie niereligijni, niewierzący są automatycznie niemoralni. Ja osobiście uważam, że straciłem sporo życia na to, aby się spod chrześcijańskiej ideologii wyzwolić. Jako społeczeństwo dopiero od niedawna wykonujemy pracę, by religia była mniej istotnym elementem naszego wspólnego życia. Wciąż jednak doświadczamy nacisków starszych pokoleń. Rodziców, którzy zmuszają obecnych dwudziesto- czy trzydziestolatków do wzięcia jednak tego prawdziwego, czyli kościelnego ślubu. Do ochrzczenia dziecka, bo jednak przecież lepiej chuchać na zimne, bo jak nie pochuchamy, to dziecko umrze i trafi do piekła. No lepiej przecież to zrobić i mieć święty spokój. A poza tym – zakład Pascala, oplacalna transakcja, co nam szkodzi, nic nie tracimy, a jakby co, skorzystamy.

**NIE ZALEŻY MI NA CHRYI**

**Zacytuję kilka fraz z twojego spektaklu: „Kościółkowe debile”, „Je\*ani biskupi”, „Pie\*dolone spaślaki”, „Sakralne świry”. Odważnie tak pisać w kraju, który zdaje się być laicki, ale tylko na papierze. Jak to się stało, że nie doczekales się publicznego różańca pod teatrami? Że do Kielc i krakowskiej Łaźni Nowej nie przyszło pismo z poleceniem zdjęcia spektaklu?**

– Na moje spektakle siłą rzeczy przychodzi sporo osób wierzących. Myślę, że tę moją antyreligijną postawę uznają za rodzaj konwencji, która pozwala przepracować mi ból i stratę. Udało mi się więc jednocześnie i obrazić część społeczeństwa, i sprowokować ją do refleksji. Wchodzimy w dialog. Może dlatego, że to moja intymna historia? Historia, która zdarzyła się naprawdę? Cieszy mnie, że spektakl nie wywołuje w sumie kontrowersji. Nie jestem twórcą, który zacię rękę, kiedy pani kurator Barbara Nowak (albo ci, którzy chodzą za nią na spektakle) wyrazi oburzenie. Nie zależy mi na chryi.

**Obrazoburcze przedstawienie księdza w twoim spektaklu uznano za pewną reprezentację systemu, który jest nieudolny. Podobnie jak system opieki zdrowotnej i paliatywnej, który również zawodzi i który brutalnie rozliczasz. Na tyle, że z pracy zwolniono jednego z lekarzy, którego sportretowałeś.**

– To był szef oddziału, który mimo iż nie pojawia się z imienia i nazwiska w mojej książce, szybko został przez kielczan rozpoznany. O tym, że opisana przeze mnie historia przelaza czarę goryczy – bo na tego lekarza było ponoć wiele skarg – dowiedziałem się na premierze spektaklu. Nie ukrywam, że poczułem satysfakcję. W świecie, w którym sztuka skoncentrowana jest głównie na sobie samej, albo jest eskapistyczna, uważam to za dowód na to, że może jednak mieć realny wpływ na rzeczywistość, że może być prawdziwie zaangażowana społecznie, nie tylko deklaracyjnie,

**Nasuwa mi się wiele mocnych komentarzy, powiem jednak dyplomatycznie: ktoś, kto nie chce popelniać eutanazji, nie musi jej robić. Podobnie jest z aborcją czy in vitro**

że może – choćby w mikroskali – zmienić świat na lepsze.

Umieranie mojego ojca wydarzało się w czasie pierwszej fali pandemii koronawirusa. To był czas mocnej eksploatacji medyków, permanentnego działania w stanie wyjątkowym. Byli ofiarami chaosu, potwornego zmęczenia, braków kadrowych i innych. A z drugiej strony byli półbogami. I często samozwańczymi watażkami na swoich oddziałach. Nikt nie patrzył im na ręce, nikt nie kontrolował. W takich sytuacjach zawsze dochodzi do nadużyć. Nie tylko w szpitalach. Kiedy system przestaje być kontrolowany, ludziom odbija.

**Czyli szpital jest taką foucaultowską przestrzenią władzy? Panoptykonem, w którym nagle gasi się światło i przestajemy być obserwowani?**

– Znajomi lekarze mówili mi o tym, jak łatwo wpaść w tym zawodzie w takie psychopatyczne myślenie o sobie, jak o wszechmogącym Bogu. Medycy mają przecież ogromną władzę nad ludźmi i ich rodzinami, nad ich bólem i lękiem.

**Twój spektakl jest krzykiem rozpaczy i bezsilności osób pogrążonych w tej chorobie. Dlatego do tej intymnej opowieści, do domu państwa Pakułów zbudowanych na deskach teatru, zaprosiłeś znajomych sobie aktorów, brata, żonę, szwagra? Ta znajomość miała pomóc w przepracowaniu utraty?**

– Ja w ogóle pracuję z rodziną i przyjaciółmi przy realizacji swoich spektakli. Pierwszy raz jednak tak blisko współpracowałem z moim bratem, który tworzy muzykę na żywo w tym spektaklu i gra samego siebie. Do współpracy zaangażowałem swój aktorski, męski dream team. Zarówno Andrzej Plata, jak i Janek Jurkowski, którzy grają mnie, narratorka, Mateusza Pakułę, bohatera tych wydarzeń – są w moim wieku, oboje mają za sobą doświadczenie straty rodzica. To pozwalało nam pracować na zupełnie innym poziomie. Nie musieli sobie wyobrażać utraty, wystarczyło te wspomnienia i emocje wystrzelać i aktorsko przepracować. Z Wojtkiem Niemczykiem (podobnie jak z Andrzejem i Jankiem)

## Mateusz Pakuła (r. 1983)



• absolwent dramaturgii na Wydziale Reżyserii Dramatu krakowskiej PWST, reżyser teatralny i pisarz. Szerokiej publiczności dał się poznać jako autor „Wieloryba The Globe” poświęconego Krzysztofowi Globiszowi i adaptacji „Pawia Królowej” dla Starego Teatru. Urodził się w Kielcach. Jest laureatem wielu nagród, w tym Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej. „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję” jest jego debiutem prozatorskim. Otrzymał za niego szereg nominacji, w tym do Nagrody Literackiej „Gdynia” i Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza. Na podstawie swojej książki – kroniki śmierci jego ojca, który zmarł na raka trzustki – wyreżyserował spektakl pod tym samym tytułem. Jego premiera odbyła się w kieleckim Teatrze im. Stefana Żeromskiego oraz krakowskiej Łaźni Nowej. Spektakl jest koprodukcją obu scen.

pracowałem już wielokrotnie i wiedziałem, że wspaniale sprawdzi się w roli mojego ojca. Szymon Mysłakowski gra zaś w spektaklu kilkanaście postaci. Jest komediowym buforem. Pozwala widać wdech, swoją lekkością i dezynwolturą równoważy ciężar tej opowieści.

## ZAMKNAŁEM JUŻ TEN ETAP

**„Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję” jest z jednej strony kroniką umierania, z drugiej – ćwiczenia z utraty. Podczas spektaklu każdorazowo odtwarzacie moment pogrzebu taty. Słyszymy wybrane przez was na pogrzeb utwory, odczytywana jest twoja mowa pogrzebowa. Te elementy ceremonii są wzięte z życia, wydarzyły się naprawdę?**

– Tak. To jest dosyć niesamowite, ale rzeczywistość; każdorazowo na deskach teatru odtwarzamy fragmenty pogrzebu ojca. Zagraliśmy ten spektakl kilkanaście razy. Czasem mam poczucie, że bierzemy udział w niekończącej się stypie. W jakimś wieczorze wspominkowym. Najpiękniejsze jest to, że widzowie w tych najbardziej intymnych, rzeczywistych momentach w spektaklu, widzą własną historię. Kiedy oglądają zdjęcia mojego ojca, widzą w Marku Pakule swoich bliskich.

Chciałem napisać książkę o rodzinie, która w całym tym państwowo-religijnym syfie staje w prawdzie, rozmawia ze sobą, jest na siebie uważna.

Nawet kiedy opisuję rodzinną czarną dziurę, czyli babcię Natalię, to okazuje się, że ona jest właściwie postacią-funkcją, w którą każdy wkłada własną babkę, matkę czy ciotkę. Udało mi się opowiedzieć tę historię w skali makro, a właściwie udało się opowiedzieć ją nam – bo zrobiliśmy to rodzinnie, razem. Bardzo mnie to cieszy.

**W wakacje miną trzy lata od śmierci twojego ojca. Masz poczucie, że zamkniesz kiedyś rozdział zatytułowany „Śmierć taty”? Czy dopóki gracie spektakle, ta rana będzie ciągle żywa?**

– Wydaje mi się, że ja już ten etap zamknąłem. Przełomem była premiera w teatrze w Kielcach, naszym rodzinnym mieście. Miałem wówczas poczucie, że gramy u mojej mamy w salonie. Oddałem wówczas tę historię w eter i poczułem ogromną ulgę. I radość! Wydaje mi się, że teraz żyje ona własnym życiem. Ja sam każdorazowo przeżywam katharsis, kiedy czuję, jak przeżywają go widzowie. Słyszę, jak Ikają w ciszy, zaraz po zakończeniu spektaklu, a kilka sekund później, kiedy aktorzy wychodzą do ukłonów, wybuchają entuzjastyczną burzą oklasków. To jest niesamowicie oczyszczające. Ale mam wrażenie, że my wciąż jesteśmy na początku tej drogi ze spektaklem. Co będzie, powiedzmy, za dwa lata, kiedy tych spektakli zagramy już kilkadziesiąt, czy sto? Co będę czuć, kiedy spektakl będzie schodził z afisza? Nie mam pojęcia. ●

Rozmawiała Angelika Pitoń